NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

3
NUMER

KRAKÓW

ROK III. MARZEC 1936.

CENA 25 GROSZY.

DO CZYTELNIKOW!

Z powodu tego, że „Nasz Wyraz" zatacza coraz szersze kręgi i staje się wyrazem literackim Młodego Krakowa, zastanawiamy się, czy nie zmienić nazwy pisma i dlatego ogłaszamy na ten temat ankietę i konkurs na nowy tytuł. Odpowiedzi do 15-tego kwietnia.

Żądajcie „Naszego Wyrazu"

w księgarniach, kioskach, czytelniach, kawiarniach!

Drukarnia „Mieszczańska" Kraków, Dolnych Młynów 3.

ROK III. MARZEC 1936. NR. 3.

Nasz Wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

Wł. M. Bodnicki.

Zofja Nałkowska jako powieściopisarka.

Nawet ktoś nie lubiący schematów uogólniających, a jednocześnie upraszczających, musi podzielić twórczość powieściową Nałkowskiej na dwie części. Na powieści pisane przed wojną i po wojnie. Ta linja demarkacyjna nie ulega żadnej najmniejszej wątpliwości. Zresztą mówi o niej sama autorka: „W książkach mych pisałam o miłości i myślałam, że każdy ma do niej prawo. Pisałam też o sztuce, o piękności filozoficznego myślenia. To się zmieniło gdy wybuchła wojna. Świat kręcił się w swych posadach. Ujrzałam wtedy czem jest drugi człowiek, czem są ludzie. Zobaczyłam rzecz mało mi dotąd znaną: cudze cierpienie. Nowa serja mych książek jest całkiem inna. Prawie jak gdyby pisał ją ktoś drugi... Nietylko inne podejmuje tematy, ma także odmienną zupełnie formę. Inne już jest to miejsce z którego patrzę — więc świat wydaje mi się inny i inaczej musi być pisany". Tego zdania o nagłej przemianie nie należy brać zbyt dosłownie. Stopniowo, może podświadomie, przechodziła do niej Nałkowska, a wstrząs wojenny tylko dopomógł i przyspieszył ostateczne przejście, bo faktem jest, że autorka od lirycznej przeszła do epickiej postawy twórczej.

Do okresu pierwszego należą następujące powieści: Kobiety (1906) z ich pierwszą częścią Lodowe pola, który to utwór nazywa Czachowski autoportretem kobiecego Doriana Graya, Rówieśnice (1909), Narcyza (1911) uznana przez krytykę za najdojrzalszą powieść okresu pierwszego, Lustra (1914) Węże i róże oraz powstały w r. 1917 Książe, stylowo należący do tamtego okresu i będący dalszą częścią Kobiet.

Książki te są jakby historjami jednej kobiety, gdyż charakter psychiczny bohaterek ich jest bardzo zbliżony, a treść ich stanowią dwa ogólno ludzkie zagadnienia: miłość i śmierć. „Ale nie jest to ów taniec miłości i śmierci jaki mamy u Przybyszewskiego, albowiem Nałkowska świadomie i wyraźnie zdąża do opanowania sfery uczucia i zarazem do przezwyciężenia śmierci, czyli obawy przed nią, przed czem szuka obrony w rozroście życia indywidualnego".

Mówić o stylu tego pierwszego okresu jest znacznie trudniej niż drugiego, który w przeciwieństwie do mnogości środków artystycznych pierwszego, cechuje epicka prostota. W każdym razie na pierwszem miejscu należy podkreślić urok poezji jaka emanuje z tej prozy powieściowej. Choćby się nie wiedziało o tem, że Nałkowska zanim przeszła do prozy, pisała wiersze, wyczułoby się poetkę. Na drugie miejsce wysuwa się jej wybitnie estetyczne podejście do życia. Bardzo trafnie doszukuje się K. Czachowski w jej twórczości wpływu Oskara Wilde'a. Podobieństwa widzi w niecofającej się przed demaskowaniem własnej duszy autoanalizie, w poglądach estetycznych streszczających się w uznaniu bezpożyteczności jako korony artyzmu i najszczytniejszego przejawu piękna: (Nałkowska wyznaje: kocham piękność niekończoną rzeczy bezpożytecznych i głupich) w licznych, nierzadko parodoksalnych, aforyzmach, w wyrozumiało ironicznym stosunku do świata i ludzi, w chęci odgraniczenia się od wpływów środowiska, w ucieczce przed rzeczywistością społeczną do „wieży z kości słoniowej", w przecudnych baśniach z krainy marzenia, dających złudzenie ochrony przed mieliznami życia pospolitego, wreszcie w ukochaniu kwiatów i klejnotów (rzeczywiście w tym okresie twórczości wszystko co ma barwę, stosownie do niej, asocjuje się Nałkowskiej z drogiemi kamieniami). Poza O. Wilde'm możnaby się dopatrzeć nierównie mniejszego wpływu, pani Rachilde i Louysa. — Już w tych powieściach widoczny był „rozrost tła obyczajowo społecznego, coraz silniej rozwijające się dążenie do odtworzenia środowisk, nietylko celem uziemnienia postaci powieściowych, lecz również jako łożyska charakterologiczne nieraz sobie przeciwne". Właśnie tę charakterystykę różnych środowisk, które wywierają wpływ na osobowość, rozwinęła Nałkowska w powieściach powojennych.

Książką stanowiącą początek okresu drugiego jest powieść p. t. Tajemnice krwi. Zajmuje w niej autorka nowe stanowisko względem życia, złożył się na to nietylko przewrót wojenny, ale i nowe prądy literackie. Nałkowska staje się niepospolitą mistrzynią psychologicznego neoromantyzmu.

Pierwsza powieść powojenna, Hrabia Emil, świadczy o rozszerzeniu się domeny „Księżnej" naszej literatury — w świat kobiet wchodzi mężczyzna prawdziwy, nie kwiat cieplarniany wyrosły na podłożu estetyzmu. Przypisać to należy wnikliwości w doświadczaniu cudzych stanów, które chwyta w chwili powstania i analizuje tą metodą, którą później wydoskonala Proust. W książce tej zawarła

Nałkowska „najgłębsze przeświadczenie o tem, że wojna jest największem złem, niezależnie od tego o co się toczy”.

„Romans Teresy Hennert” i „Niedobra miłość” są jak sama mówi „obrazem przemian, które zaszły w Polsce po wojnie w ludziach i pomiędzy ludźmi, wyrażają silne ciśnienie namiętności, które już zaznały swobody”.

Romans Teresy Hennert spotkał zaszczyt porównania przez Czachowskiego z Przedwiośniem Żeromskiego. Uderza w nim, zastosowany po raz pierwszy w tym stopniu, spokój epicki a nawet chłód, który sprawia, że ludzie, którzy tam występują są nam obcy, mimo, że wierzymy, że są prawdziwi. W niej podobnie jak w „Granicy”,pojawia się owo jakby starożytne fatum, które sprawia, że pewne czynności, których uniknąć nie możemy, sprowadzają takie a nie inne rezultaty.

Mimo, że następna książka „Choucas”„zawiera poczucie konieczności, aby nienawiść między narodami wygasła” i rzuca perspektywy na rzeczywistość europejską, to jednak głównym tematem jej jest „chora miłość”. Znów okazała się w niej Nałkowska poetką w mistrzowskich opisach zimy w górach.

Jak każdy pisarz, powraca i Nałkowska w „Domu nad łąkami” do wspomnień młodości. Piękno tej książki leży chyba głównie w głębokim, wyrozumiało pogodnym spokoju z jakim na świat i ludzi patrzy autorka i co oddaje w przedziwnej prostocie stylu. I jak twórczość tamtego pierwszego okresu wywarła wpływ na Helenę Filochowską, tak ta książka, wpłynęła na szereg zjawisk w literaturze naszej.

Ostatnia powieść Nałkowskiej „Granica” zawiera typowe zalety i wady jej talentu. Akcja jej, jak każdej z drugiego okresu składa się z dwu mytywów: romansu bohaterki (ra) tu Ziemkiewicza i z akompanjamentu społecznego wtórującego akcji osobistej.

Bohater uwodzi biedną dziewczynę a równocześnie jest narzeczonym panny „z dobrego domu”, z którą się później żeni.

Zakończenie tragiczne, bo uwiedziona mści się.

Głównem zagadnieniem przewijającem się przez powieść i nadającem jej pewien niepokój, jest rozstrzygnięcie niepewności czy człowiek jest tem czem są jego czyny, tem czem się wydaje w oczach ludzi czy też tem, za co się sam uważa „patrząc od wewnątrz na motywy swoich czynów na pewne konieczności i sploty, które warunkują taki a nie inny przebieg jego życia”. Ciekawą rzeczą jest, że Nałkowska nie pierwszy raz wysuwa to zagadnienie i co ciekawsze, że rzuciwszy je w „Wężе i róże”, odpowiedziała na nie. Odpowiedź wypadła:

„Człowiek określa się nietylko przez swój stosunek do świata, ale i przez stosunek świata do siebie. — Sposób w jaki ludzie do nas się odnoszą, ma duże znaczenie orjentacyjne i pedagogiczne. Właśnie należy umieć myśleć o sobie ze stanowiska innych, patrzeć cudzemi oczami z boku. Należy kontrolować nieustannie własne odczuwanie siebie przez konfrontację z wrażeniami innych, weryfikować objektywność swego sądu o sobie. Tylko zważanie na wzgardzoną „opinję“ pozwala uniknąć błędów perspektywicznych w wyznaczeniu sobie miejsca pośród świata. Są to te dwa punkty obserwacyjne potrzebne do oznaczenia odległości danej gwiazdy“.

gdy tymczasem tu postawa jej do tego zagadnienia nie jest zdecydowana, niejasno wychodzi jej stanowisko wobec odpowiedzialności moralnej człowieka na czem cierpi osoba bohatera. Gdyby nie to, że książkę pisała kobieta i to taka znawczyni charakterów i dusz kobiecych jak Nałkowska, możnaby się sprzeczać i wątpić czy prawdziwą jest jej Elżbieta. A już zdecydowanie razi przebieg ich uczucia, konstruowany jakby od wewnątrz, pozbawiony własnej dynamiki. Świetne są natomiast postacie drugorzędne, zwłaszcza galerja starych kobiet z Kolichowską na czele — ale i tu coś razi, mianowicie: jakżeż umiejętnie oddała Nałkowska tragedję zanikania młodości i związku z życiem a przytem pozostała zimna, obojętna na niedolę starości. A na kartach tej samej książki znów tak świetnie oddana niedola psa łańcuchowego. Jest to bardzo charakterystyczne dla autorki, która wyznała: „Im bardziej poznajemy ludzi tem więcej kochamy zwierzęta“. Nałkowska kocha zwierzęta, prawie w każdej powieści znajdziemy obrazki z ich życia: są mistrzowskie, są godną kontynuacją Dygasińskiego.

Również zagadnienia społeczne tej powieści budzą zastrzeżenia, widać, że autorka nie czuje się w nich dobrze, a co za tem idzie swobodnie. Wprawdzie jej opis suteryn domu gdzie ludzie żyją „warstwami” jest nawskróś nowoczesny i jako pomysł doskonały ale nie wychodzi.

Tragiczne zagadnienia przebudowy społecznej świata, niedola pewnych klas społecznych nie potraktowane ze strony emocjonalnej ale tak jak uczyniła to Nałkowska, intelektualnie, nie biorą, nie mają siły. I tu na osobie Marjana Chąćby odbija się brak stosunku uczuciowego autorki do tych spraw, których on jest bojownikiem i nie tylko do niego ale wogóle do ludzi pracy. Nie poprawi tego anemiczny niepokój społeczny Elżbiety, malejący wobec jej osobistych przeżyć. Cała teza społeczna wijąca się przez akcję nie jest rozwiązana ani nawet dokładnie rozwinięta i robi wrażenie czegoś obcego konstrukcji utworu i psychice autorki.

Mimo, że książka jako całość jest „martwa” jednak ma i bardzo duże zalety. Do nich należą świetnie opanowana technika pisarska, wielkie bogactwo obserwacji, niezwykła w tym stopniu nawet u mężczyzn prostota, szczerość i bezwzględność z jaką odsłania tajniki życia wewnętrznego kobiet, logika, własna, odrębna indywidualność autorki. One każą uznać w Granicy książkę dużej wartości, a Nałkowską za zjawisko wyjątkowe i to na terenie ogólno-światowej literatury.

W. M. Bodnicki

Tadeusz Zelenay.

Wywiad ze Światopełkiem-Karpinskim.

A więc jak zwykle — banalny prolog. Szara kamienica, schody, ciche pojękiwanie windy ciągnącej nas na górę. Stop. Drzwi, dzwonek.

* * *

— Czy nie zechciałby pan przedstawić nam w głównych zarysach swojej, że się tak wyrażę karjery literackiej, zapytuje jeden z nas. — Naprzykład pański pierwszy wiersz.

— Pierwszy mój wiersz napisałem będąc w I-szej klasie gimnazjum, był to erotyk do siostry mojego kolegi. Wyleciałem za ten wiersz ze szkoły. Drugi raz wyleciałem z klasy VIII, za wiersz który wypisałem w klasie na tablicy. Było to wierszowane wyrażenie moich poglądów na sposób nauczania literatury w szkole. Jak panowie widzicie, rozpocząłem swoją karjerę jako „męczennik swej ideologji poetyckiej". —

Chcielibyśmy się teraz dowiedzieć, jak się przedstawiała współpraca pańska z grupami i organami młodej poezji. — Pierwszy wiersz drukowałem w „Drodze". Początkowo należałem do „Meteoru" łódzkiego, związek mój jednak z tą grupą, był dosyć luźny. Już silniej byłem związany z „Kwadryga", ale dopiero „Wiadomości Literackie" i „Skamander" odegrały rolę terenu moich stałych wypowiedzi.

— Jaki jest pański stosunek do poezji t. zw. społecznej, proletarjackiej.

—Bardzo prosty, uważam, że wypowiedzi poetyckie w dziedzinie społecznej nie są celowe. a to z tej prostej przyczyny, że ludzie, dla których te rzeczy się pisze, jeszcze nie dorośli, nie wznieśli się na ten szczebel rozwoju intelektualnego, ażeby móc czytać i odczuwać poezję współczesną, w dodatku o tak śmiałej formie jak dzisiejsza poezja agitacyjna. Rzecz inna, że niektórzy poeci piszą z tej dziedziny rzeczy bardzo piękne i pełne dynamicznej wymowy. Dla mas jednak bardziej przydatne będą rzeczowe artykuły niż poezja i te, po stokroć lepiej spełnią swoje zadanie.

Czy nie zechciałby pan przedstawić nam swojego stosunku do poezji awangardowej. Wie pan — Peiper, Przyboś, Miłosz.

— Owszem. Otóż ja osobiście pomimo, że jestem „kataryniarzem", jak lubią określać awangardziści piszących regularną klasyczną strofiką, nie wyrzekam się zdobyczy poezji awangardowej, skrótów, skondensowań, wymownej i daleko rozbudowanej, lapidarnej, dobitnej metaforyki, ale też nie przeceniam znaczenia awangardy. Poeci, wogóle piszący dzielą się na dwie kategorje: tych, którzy przeżycia czerpią z otaczającej ich realnej rzeczywistości i tych których żródłem przeżyć, a tem samem i wypowiedzi, jest lektura. Proszę nie utożsamiać tego co się rzekło z jakiemś plagjatorstwem ani nawet z wpływami. Doskonali poeci tworzyli i tworzą pod wpływem lektury (tu pan Karpiński wymienia kilka bardzo szanownych nazwisk). Jest to poprostu superwrażliwość, czułość strun artystycznych. Poprostu snucie własnych pomysłów na kanwie przeżyć jakie daje lektura.

Ja osobiście piszę pod wpływem przeżyć jakich mi dostarcza świat zewnętrzny, nie zaś lektura.

Ale co innego kwestja wpływów i naśladownictw awangardy, których to fale ogarnęły to najmłodsze, sztubackie jeszcze pokolenie poetyckie Tutaj panoszy się snobizm, zarozumiałość i amatorstwo. Ta młodość poetycka zapomina, że dzisiejsi awangardziści zanim zaczęli się wypowiadać w tej formie co dzisiaj zpoczątku doskonale uczyli sie władać strofiką i stosowali się do klasycznych form. O tem też nasi najmłodsi czciciele awangardy powinni pamiętać.

Pozatem drażni mnie często to zimne, doktrynerskie traktowanie przez awangardzistów, swoich teoryj.

— A teraz chcieliśmy na zakończenie zagadnąć pana, o jego plany na przyszłość.

Teraz jestem całkowicie pochłonięty pisaniem nowej „Szopki Politycznej", która gdzieś w lutym będzie wystawiona w Café Clubie. Na jesieni wydaję nowy tom poezyj, pozatem pracuje nad przeróbką starej swojej sztuki, która będzie wystawiona w Krakowie. Tematem jej jest życie prowincjonalne.

Wstajemy, jeszcze parę słów, gościnny gospodarz odprowadza nas do drzwi, zgrzyt angielskiego zamka, winda huczy, ulica. Koniec. Kropka.



KOLUMNA VOLTÓW.

Józef Sroga.

Wysłuchuję: ten plusk.

Tu
W zawiei
owinięty wśród drzew

W szumy
nie opuszczę śpiewania os

śpiewem

a trawom
trawy sadami
kołyszecie w pola wieś
w olszynkach kipi
muzyką

u mnie przy uszach ściszony włos.

malutka
szesnaście lat
ognista pukla
świat
owalna twarz
i wiosna już chyba
dla mnie ten kwiat
malutka

nie dla mnie nie dla ciebie tulę
lata
drzewa w płomieniach szesnasty twój las.

W szepcie mi skrzypce
szemrzą trawy w sadach
rzewnemi dymami waltorniami
pod chmury moja wieś i las
strumykiem
zamuzyki
umyka.

już z buków zerwane i ja
jak miazga
fagoty
zranione ptaki
kwilą

graby oboje
pluskany i fletami od wierzb
wewnątrz staję.

tu
w okolną muzykę wplątane obłoki
brzęk owadów najbliższy

w trawach
szum żeber od siebie odchodzi

górą i dołem

wysłuchuję
czas.

Stanisław Fotoczek

Szopen.

W samotności — jak smutno — — — —
Za oknami drżą w szponach mroku powiewne lilje.
Paryż co wieczór odpływa szumem przemijania.
W kryształach kandelabrów, w lśnieniu złotych kornetów
Jakże wam wygrać wiosnę w godzinach rozstania?

Czarnym pasażem zadławionych nut
Jak utulić tęsknotę zwiędłych dłoni — cieni?
Wiatr elizejskich pól nie spłynie zapachem ojczyzny.
Daleko łkają polskie miedze w pierścieniach jarzębin
I jesień srebrnie płacze mazowieckiej ziemi.

Jakże wyłuskać perły tonów z woskowych klawiszów,
Niebieskie mity o Tobie — Marjo?
Więdną spazmem mdłych świateł oczy w mroku ciszy
W lśniących zwierciadłach nocy przyczajony cień . . !
Marjo!
Marjo!
Jedwabną melodją wspomnień odejść w blady sen
I długo chorą piersią sycić wonie ciszy — — —

W samotności — jak smutno — — — —
Rozlewa sad wiśniowy słodkim jodoformem.
W lśnieniu ramion uspokój — — —
Białym głosem otul — — — —
Gasną żółte latarnie w martwym wichru szepcie
I ktoś w mgle woła na matowej hornie.

Nad ogrodem rozlewa wicher łzy akordów.
Nad wieżami welony mgławej melodji — — —
Wiem: skrzydła mroku żałobę rozwiną — — —
O — — — —
Zielone oczy lśniąc z alei płyną
I głuche szklane w lęk wyrosłe kroki.
Za oknami na księżyc rdzawy fagot nocy — — —
Marjo liljowa!
Marjo!
Marjo!

— — — — — — —

Na klawikordzie białe nuty w czarnych konchach leżą.
Opadły blade palce strugą drżących nut.

U kryształowych źródeł czerpać złotą pieśń,
Aż powrócą szumiące kłosy wonnych zbóż
Szare strzechy w mazurkach pochylonych grusz
I żałosne oboje mazowieckich pól,
Nim cierpkie życie na jeziorze świtu cicho zdławi ból,
Nim zgaśnie nokturn na zerwanej strunie
W głuchym, groźnym szumie.

KOLUMNA WEKTORÓW.

Johannes Robert Becher.

W mroku.

W różnych pokojach mieszkałem,
miały swą twarz i trud,
miały zmarszczki i plamy,
kwaśny kamienny smród.

Wisiała na dole w bramie
lista lokatorów.
Ustawił ktoś na niej rzędami
ślepych, umarłych, chorych.

Leźli schodami w górę,
nadół złazili po schodach.
Na piętrach leżeli ludzie
w pokojach swych jak w grobach.

Stałem przy oknie. Księżyc
zimnym blaskiem ręce mi ranił.
Nie wiem, kto tam w mroku się męczy
i puka i puka w ściany.

Pod ziemią huczą pociągi.
Kroki przedemną płyną.
Obok w knajpie ktoś rąbie
w rozklekotane pianino.

Wiosna przyszła nocą
a rano bawiły się dzieci w koło.
Wypełzła na świeże powietrze
trumna z zatęchłych pokojów.

Otwarły się wszystkie okna,
płonęło słońce na dachach.
I ja na ulicę wyjrzałem.
Pod murem ktoś cicho płakał.

Mieszkałem z ludźmi blisko,
bardzośmy blisko mieszkali.
Zegary ciężko czas wybijały.
Wcaleśmy się — ludzie — nie znali.

Rainer Maria Rilke.

Casablanca.

Majaczy rdzawą kopułą
kościół w śniedzi zawisły.
Jak mnisi w szarych kapturach
idą pod górę cyprysy.

Zapomnianym świętym wmodlonym
w ołtarzy mroczną samotność
wieczór podaje korony
przez puste wielkie okna.

tł. Aleks. Messing

Georg Trakl.

Burza wieczorna.

O wieczorna czerwoności!
Liście winne dziko pachną.
Liść czerwony błękit rozciął
nad upiornem widmem strachu.

W smrodzie ścieków śmiecie tańczą.
W szyby świszcze wiatr ponuro.
Pioruniastych koni zaprząg
pędzą czarne, straszne chmury.

Z jękiem pęka lustro stawu.
Za oknami krzyczą mewy.
Wybuchł ognia jeździec krwawy,
płomieniami prysł na drzewach.

Chorzy wrzeszczą po szpitalu.
Noc błękitnym świszcze tonem.
Błysk migoce, kiedy nagle
deszcz uderza w dachy domów!

Sen złego.

Przebrzmiewa bronz i złoto dziwnych dźwięków gongu —
Już zbudził się kochanek — pokoju ciemnota —
twarz w płomieniu, co właśnie za oknem błyskotał.
Na rzece — maszty, żagle, statki tęsknie krążą.

Mnich, kobieta ciężarna idą w ciemnym tłumie.
Błyszczy czerwień kasztanów, dźwięczą dźwięki gitar.
W złoty połysk wmieszany kasztan co rozkwitał
niknie. Kościół swą wieżę smutnie w górę uniósł.

Duch złego patrzy dziwnie spod swej maski bladej.
Plac zciemnia się i tonie w szarości i we śnie.
Słychać szepty na wyspie gdy wieczór zapada.

Dziwne znaki co ptaki w swoim locie kreślą
nieczytelne się zdały, może noc je zmaże.
Drżąc, w ogrodzie — rodzeństwo — poznało swe twarze.

tł. Jerzy Kamil Weintraub.



Rzeszowiacy w efektownych strojach, które ze względu na dekoracyjne zestawienie barw, zasługują na poznanie.

Muzeum Etnograficzne.

(j) Poniżej zamieszczamy kilka reprodukcyi z zbiorów Muzeum Etnograficznego na Wawelu.

Muzeum to, istniejące już blisko 25 lat, będące jednem z bogactw kulturalnych Krakowa, mające za sobą takie imprezy, jak udział w wystawach w Pradze, w Sofji, w Bułgarji, w Sztokholmie, w Koszycach, Florencji, a nawet w Tokio, przygotowanie eksponatów krakowskich dla muzeum fińskiego w Haztuli, wypełnienie specjalnej sali Muzeum Historycznego w Bermie Szwajcarskiem (oddział etnograficzny), służące ponadto zawsze chętnie swemi materjałami uczonym (ze zbiorów jego korzystali m. in. prof. Bystroń, prof. Moszyński, prof. Fischer, prof. Piasecki, prof. Frankowski, prof. Klaustin, z Rygi, prof. Manninen z Dorpatu, Ferd. Leinbock dyr. Muzeum Narodowego w Estonji, prof. Gavazzi z Zagrzebia, dr. Vaelarik z Bratysławy) znajduje się teraz w krytycznem położeniu.

Mianowicie dn. 1 sierpnia 1928 r. zarząd Zamku król. na Wawelu na polecenie Kancelarji Cywilnej wypowiedział Muzeum dotychczasowe pomieszczenie. Narazie wprawdzie Muzeum, z powodu braku innego lokalu, pozostało w dawnym, w każdej jednak chwili może być wyrzucone na bruk. Zarząd m. Krakowa, chcąc przyjść z pomocą Muzeum, zrzekł się swych praw do jednego z gmachów poszpitalnych na Wawelu, również Ministerstwo W. R. i O. P., chcąc pomóc Muzeum w tragicznem położeniu, wycofało z tego gmachu Kursy Wyższe, pomimo, że niedawno włożyło około 40.000 zł. w remont budynku. Niestety, pokoje gmachu poszpitalnego zostały przerobione na mieszkania funkcjonarjuszy Zarządu Wawelu, a Muzeum Etnograficzne pozostało nadal w ruderze, w której od czasu do czasu zapadają się podłogi i sufity.

Dowiadujemy się, że w związku z tym zarząd Muzeum nawiązał już, a raczej podjął poprzednio przerwane pertraktacje z jednem z miast, aby za wszelką cenę ratować od zagłady zbiór, będący jednem z bogactw kulturalnych Polski. Nie ulega wątpliwości, że Muzeum, mające za sobą już niejedno przejście, przetrzyma i tę sytuację, należałoby chyba jednak coś zrobić, by Muzeum mogło pozostać w Krakowie.



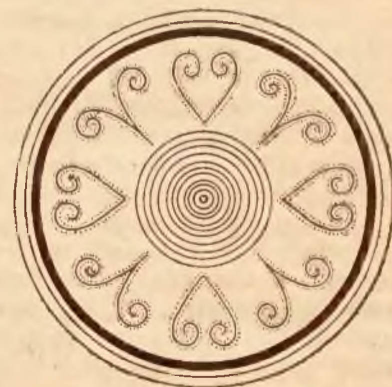
Dźwierze górali śląskich, zdobione prastarym motywem kołkowania, gwiazdy cyrklowanej oraz ząbców.



Miska ze Starego Sącza zdobiona pobiałką, parzenicowemi motywami, które użyczają wiele uroku sądeckiemu stylowi.



Kapliczka murowana w Podegrodziu w pow. sądeckim obrazująca formy baroku (ludowe: przetworzenie form barokowych).



Miska ze Starego Sącza zdobiona pobiałką, parzenicowemi motywami, które użyczają wiele uroku sądeckiemu stylowi.

Kornel Filipowicz. (Volty).

Jan Błahut.

Fragment końcowy.

Sierżant Ryszka prowadził o tej porze kompanję z ćwiczeń do koszar. Nie był to Ryszka zwycięski, lecz ociekający potem i brnący codziennym, niemal domowym krokiem po lekkiej pochyłości ulicy, która stawała się nieznośna w takie gorące dnie jak dzisiaj. Tylko na skrzyżowaniach ulic stawał się na moment tem czem powinien być dla pierwszej czwórki: ostrzem stalowego cyrkla, który wykreśla jej prawdziwą i jedyną drogę. Ryszka wykręca kompanję, przerzuca ją z jednej strony ulicy na drugą, przepuszcza wozy i auta, kłania się z uśmiechem znajomym, tym życzliwym, niewojskowym sposobem, który ma już dużo z uścisku dłoni i czuje ciężar czwórek na swoich ramionach jako coś jednak dość przyjemnego. Odmienił się już nieco ociężale na ostatnim skręcie, przez ramię zobaczył kelnerkę zasuwającą jakoś dziwnie łatwo żółte firanki w oknie narożnej restauracji przeszedł na prawą stronę aż pod sam trotuar i był na swojej ulicy. Zaraz też ukłonił się z okna niskiego domku Piekacz (poufale przykładając całą rękę do łysej głowy) z milczącą zapowiedzią wieczornego bilardu. Za jego domkiem szła fabryka ze zmienną gorliwością obrabiarek naprzemian do miękkiego i twardego drzewa. Mijają wywieszki sklepików, krawczyń, szewca, magli, ślusarni, te wszystkie punkty jego kieratu rodzinnego. Właściciele ich są uprzejmi jeśli nie mają zbyt wielkiego natłoku w interesie lub zgoła bezczynnie stoją w drzwiach; witają go radośnie, lecz nie bez znudzenia; wiedzą dobrze, że z Ryszką można przecież spotkać się wszędzie choćby dziś wieczór na bilardzie, jutro w kręgielni, na festynie nad rzeką. Oceniają dwie trzy pierwsze czwórki, uważne i sztywne. Ostatnie rozkołysane dźwiganiem skrzynek z amunicją i podziurawionych kulami nieprzyjaciół z tektury, są nieinteresujące. Jeden jedyny Richter, zegarmistrz nie ma szczęścia zauważyć sprawności i dyscypliny czoła kompanji, wyjmuje zbyt późno szkło z zaczerwienionego oka, dostrzega więc już tylko płynące na żerdziach tekturowych sylwety wyobrażające nieprzyjaciół. Postacie te mają poszarpane kulami brzuchy, piersi i twarze. Stary Richter kiwa głową jakgdyby mówił: „Co za celność, co za piekielna celność". Poczem wraca do swojej małej pulsujacej kółkami tarczki. Oto zbliża się szyld z napisem „Jan Błahut tapicer i dekorator", z wymalowanym fotelem o niezmiernie cienkich nóżkach i upiętą draperją. Ryszka przyśpiesza kroku (słyszy jak pierwsza czwórka podejmuje jego odruch i jak rytm marszu przełamuje się do ostatnich szeregów). Co on sobie wyobraża. Ze można tak zacząć robotę i bez słowa rzucić? Przecież jeszcze otomana nieobciągnięta a niedziela zachodzi. Oni zawsze odwlekają w nieskończoność, żeby móc sobie liczyć podwójnie. Lecz wkońcu kto właściwie wymyślił i kto napierał na obciąganie foteli i otomany? Żona. Ta wyblakła, jakgdyby zaczęsto myta kobieta o prostych szarych włosach, znienawidzona dostatecznie przez jedenaście lat pożycia. Złość do Błahuta gotowa się zrównoważyć bez reszty tym obrazem, owszem, nawet jakieś lekkie pasemko sympatji czy coś, ale właśnie zbliżają się do koszar i Ryszka musi wydać głośną komendę nakazującą uwagę i porządkującą kroki tych ludzi poza nim. Djabli nadali skądś ciężkie węglarskie platformy z podskakującemi pustemi koszami i rozkraczonymi woźnicami, które Ryszka musi przepuszczać lewą stroną. Przelatują z piekielnym hałasem żelaziwa otoczone niską mgiełką czarnego pyłu towarzyszącego roztrzęsionym deskom. Przeciągła komenda ginie w turkocie, karabiny podskakują w kilku pierwszych czwórkach, skutkiem czego rozbawieni porucznicy idący obok trotuarem muszą krzyczeć: „Co jest? Baczność — było".

Błahut wstał i począł się ubierać jak człowiek zupełnie zdrowy. Butów nie dosznurował tylko spowodu dziwnego bólu u nasady nosa za każdą próbą schylenia się. W drzwiach kuchni stanął już mąż i ojciec z zamiarem pochwycenia wszystkich nici wiodących do życia i interesów każdego członka jego rodziny, Jest to dowód zupełnego zdrowia u Błahuta i żona to pojmuje, jednak ukrywa sprawę Edka w gorliwym przesuwaniu kamiennego garnka i mnóstwie ruchów koło kuchni. — Błahutowa spogląda na męża — i myśli chytrze: „Twoje niedosznurowane buty i trzęsące się palce przy kręceniu papierosa upewniają ,mnie, że nie powinieneś wiedzieć, że Edka wyrzucili z fabryki i że teraz poszedł nie do roboty lecz szorować beczki od śledzi sklepikarzowi na rogu". A Błahut?, ach jemu wystarcza żeby wrócić na utraconą w chorobie pozycję męża tyle: — Edek w robocie, Marta w szyciu a Franek poleciał. — Jest spokojny nawet dumny. Edek w robocie Marta w szyciu, a gdzież to Franek poleciał? Idziesz do roboty?—pyta Błahutowa. Błahut może wymijająco odpowiedzieć:— Na trza mi się bedzie podziwiać. — Chce w ten sposób jej pokazać że mu znów nie tak strasznie zależy na tych marnych kilkunastu złotych. I niech wie, że skoro chłop wstał to zawsze się rada znajdzie jak nie tu to tam. Choćby ta robota przy dekoracjach na uroczystości, którą ma obgadać dokładnie z Selberem. No a z temi fotelami i łożami do teatru. Trzebaby czeladników a czeladników. To już byłoby przedsiębiorstwo. Ona zaczyna wątpić czy potrafiłby, bo przecież tylko pomyśleć. Błahut się oburza. — Co ty wiesz co się nie robiło. Choćby w takiem Dreźnie. Albo we Włoszech, to oficerowie kazali zdzierać blade jedwabie z tych śmiesznych filigranowych kanapek i fotelików a potem kazali niemi obciągać meble u siebie w domu. Nieraz bawił całemi tygodniami w ich dworkach w Styrji czy

Tyrolu. Błahut zgina się żeby dosznurować buty, przetrzymuje świdrujący ból między oczyma i mówi zmienionym, usprawiedliwionym chylaniem się głosem: Ty, odewrzyj do pola bo tu mosz pary a pary. — Z ulicy dochodzi tępy, oddalony gwar sobotniego popołudnia. Tartak obok Piekacza idzie krótkimi bzyknięciami; dopiłowują jakieś ostatnie cienkie listwy. Dzień przełamuje sie w owe niskie suche upalne popołudnie, które się nadaje tylko do grania w karty po skarpach i łączkach na rozścielonych kocach. Jest moment kiedy Błahut pojmuje swoją bezsilność i chorobę. Ale potem jest następny w którym mówi: „Obiod zjem jak przyjdę," dopala papierosa i idzie do sierżanta Ryszki kończyć pluszową otomanę.

Jakób Sawczak (Volty)

Jutro przyjeżdża biskup.

Zgrzypią drzwi na dzwonnicę. Klinga światła węszy w ćmie. Skacze na drabinę.

Na skwierk drabiny pod stąpaniami Kosiby podnosi się chrzęst na murach jak trzepotanie się kur w piasku. Chrzęst rośnie w niezdarny klask i potykanie się skrzydeł w ciemnościach.

Kosiba wspina się ostrożnie po zbutwiałych szczeblach. We wiadrze bełta się farba.

— Świeć jakoś inaczej Wicek! — krzyczy z góry na gramolącego się za nim, zaspanego szkraba. Wicek trwożnie osłania dłonią światło. Światło waha się w trzepocie skrzydeł gołębi, szamocących się rozpaczliwie nad ich głowami. Gołębie czepiają się krokwi i ścian naoślep. Drapią po nich i szorują skrzydłami. Zapruszają oczy. Kosiba mruży oczy i klnie.

Wicek chowa światło pod kapotę. Światło gaśnie. Cuchnie karbit.

— Choleraby was wzięła! — wzmaga się rozgardjasz skrzydeł. Gołębie lecą hurmem do dnia niemrawiącego się w kratach okiennych. Słychać ich spłoszony lot nad kościołem, jak furczenie celty na wietrze.

Dzwonnica stygnie piwniczną ćmą i ciszą. Wicek rysuje zapałka. Siarka drapie w gardle. Znowu skwierczy drabina i farba pluska w wiadrze. Sznury dzwonów balantają się po szczeblach. Od chybocącego się światła gigantyczne cienie szastają po ścianach i przełamują się na krokwiach. Grzmoci zegar godzinę piątą. Grzmot ten wypełnia kopułę wieży i buszuje w niej huraganem. Kosiba wzdryga się za każdem uderzeniem jakby nad jego głową pękały granaty. Z ulgą otwiera wyziór kopuły na czerwony świt. Czerwony świt rani mu oczy. Wystawia kubeł z farbą na blaszany dach pokryty rosą.

— Podaj rękę. — Wyczołguje się przez wyziór z pękiem sznurów przewiniętych przez ramię i pociąga za sobą Wicka. Wicka oszałamia wilgotne powietrze po strychowym zaduchu, jak łyk tęgiego spirytusu. Zadzierają głowy do góry. Baniasta kopuła zasłania szczyt wieży. Oblatuje ich strach. Jest tu jakoś nieswojo. Zgurby blachy rechocą pod nogami. Wyziór patrzy czernią próżni na świat, jak pusty oczodół. Po zroszonej kopule pełzają gąsienice... Na dole, daleko gdzieś klekoce furmanka. Kosiba wodząc dłońmi nad głową po mokrej blasze podbrzusza kopuły, pomyka się wokół niej. Dociera do drutu gromochronowego.

— Wicek tyś lżejszy, bierz linę i wyłaź. Wicek patrzy w twarz Kosiby. Trzęsą mu się wargi. Dotyka ręką drutu. Drut jest mokry i szorstki. Zwisa kręto.

— Nie pójdę — mówi błagalnie i cicho.

— No ksiądz pójdzie za ciebie. — Kosiba chwyta go za porczęta ruchem nagłym, wykluczającym opór. Podsadza go wysoko — nad swą głowę. Wicek kurczowo przebiera rękami po drucie i zaciska na nim kolana. Nosami butów szoruje po blasze. Blacha jazgocze, jakby kopał w bęben. Na żelaznych żebrach, podtrzymujących drut Wicek odpoczywa i spogląda w dół.

Na rynku przed kościołem majaczą sylwetki kobiet w obrysach porannej mgły. Sprzedają mleko. Brzęczą bańkami. Patrzą na wieżę, na Wicka. Może sądzą, że z djabłami sztamę trzymam, skoro nie urywa się ten pręt podemną, a może niektóre proszą Boga — myśli — abym nie skręcił karku. A Wicek wolałby, aby która z nich lazła po tym drucie, a on aby stał tam na dole i prosił za nią Boga. Twarz mu pała. Nabiera głęboko powietrza i czołga się, aby przystanąć na następnym żebrze. Rzęzi przytem i pragnie, aby piorun strzelił teraz w gromochron. Jużby się nie musiał wyżej piąć. Niechby ta kto inny zakosztował tego chleba.

— Po cholerę tyle tych bań nastawiali — pomstuje w duchu, kiedy wspina się na czwartą kopułę, a nad nim rozpękają jeszcze dwie. — Bania na bani, a bania na niej.

Kiedy dociera do szczytu, do krzyża, i za dzierga na nim kołowrotek, huczą pod nim dzwony, jak most pod tłoczącymi się wozami.

Krzyż śmieje się w słońcu mosiądzem. Wicek rzuca obręcz powęźlonych powrozów. Powrozy wiją się z kopuły na kopułę. Blacha grzechocze pod węzłami, jak pod gradem.

Kosiba łapie gmatwaninę powrozów. Wciąga ją przez wyziór i przywiązuje do krokwi. Gdy wychyla potem głowę z wyzioru słyszy nad sobą szamotanie się Wicka. Napięta lina dreszczowo szarpie się w wyziorze i uderza Kosibę po twarzy.

— Klawoś się Wicek spisał. Niema co. — przeciąga ku sobie drabinę i pomaga mu zejść. Wicek ma skroń i ręce obrzmiałe żyłami. Na wargi ścieka mu pot ziarnkami grochu.

Daleko z dołu dochodzi ich gwar przekupniów i klask desek. Rynek najeża się straganami.

— Widać targ tu dzisiaj będzie. — Kosiba obwiązuje się sznurem w pasie i pod pachami. Patrzy potem w górę na rozhuśtaną linę, bębniącą w kopułę pięściami węzłów. Schyla się po kociołek z farbą.

— Ciąg Wicek, fest!

Zawisa w powietrzu. Koło kwiczy wysoko nad jego głową, jak wydzieranie gwoździ z desek. Przed twarzą Kosiby prężnie trzepoce się lina idąca w dół. Smaga go węzłami po twarzy, rękach i kostkach nóg. Węzły są rosochate i szerokie, jak piaskowiec.

Kosiba wykręca się na sznurze. Tłucze na spoidłach blachy kolana i łokcie. Kociołek zberka o kopułę. Farba chlusta, aby po długiej dopiero chwili mlasnąć przy spotkaniu się z dachem kościoła. Ale Kosiba mlasku tego nie słyszy. W uszach szumi mu krew. Tłucze sobą o odętą kopułę. Kopuła dudni próżnią.

Wierzchem kopuł Kosiba podryga łakomie na stopach. Końcami palców rozpaczliwie rysuje po blasze, jak człowiek na szubienicy, kiedy wyrywają mu z pod nóg stołek.

Znowu kurczy nogi w powietrzu.

Kociołek z farbą szkrobie po blasze. Farba bełta i mlaska coraz niklej daleko w dole. Koło coraz śmielej kwiczy nad głową Kosiby.

. . . I znowu błogie łaskotanie blachy pod stopami. Wyprężają się nogi, kurczą się. Mlaska farba. Kwiczenie koła świdruje w uszach . . .

— Doooość! — przykłada do ust dłoń zwiniętą w trąbkę i krzyczy w dół do Wicka. Przesuwa potem na pasku kociołek z farbą. W kociołku macza pendzel. Szuszczy blacha pod szorowaniem pendzla. Kopuła krwawi, jak rozrąbana głowa.

Kosiba oplata nogami linę. Wychyla się ukośnie. Ręce ma przewiązane pętlami żył. Mruga powiekami pod słońce. Słońce mrowi mu się w oczach. Kica farbą skrzętnie wokoło, aż kopułka uśmiecha się, jak gałka rzodkiewki. Prostuje się wtedy Kosiba z otuchą. Woła nadół o farbę.

Niebawem słyszy stuk kociołka, idącego w górę. Opuszcza się tymczasem po węzłach liny na jego spotkanie i patrzy w głąb — jak w przepaść — na plac przed kościołem.

Kobiety kupują dla mężów gacie przy pstrych kramach. Mierzą ich długość na rozpiętości rąk i targują się o cenę. Nie dobijają widać targu, bo rzucają gaciami i odchodzą. Żyd ciągnie je za chustkę zpowrotem. Obok próbują po dźwięku sierpy i podkowy. Dalej przyzuwają buty. Kosztują masło. Grzebią z obrzydzeniem na niby w starym przyodziewku i obzierają się przytem wstydliwie, czy aby ich kto ze znajomych z boku nie widzi.

Kosiba łapie kociołek z farbą. Opuszcza pusty. Ciarki myszkują mu po grzbiecie, gdy tak widzi głęboko pod sobą miasto i ludzi; nad skosami i bezładnemi załamaniami papowych dachów snurzą się bure dymy. Okna domów patrzą na podwórka, na ścieki uliczne, na rynek. Na podwórkach krzyczą gęsi i dzieci, na ulicach krzyczą furmani, na rynku krzyczą wszyscy.

— Najlepsie pasti do obuwio! — dochodzi go z dołu. Najlepsi z mydłów, śpilki!! Najlepsi śniurówek po jedne 10 grosiów!

Pod pendzlem puka blacha i rosną strzępy czerwieni.

— Uwaga na mnie ludzie. Tu się gra, tu się wygrywa! Para nie para. Za jedne 5 złotych 10.

Dziesięć złotych — myśli Kosiba. Taki syn przesuwa naparstkami i zbiera dziesięciaki. A ty bracie dyndaj po wieżach za marne grosze. Psiakrew!!!

— Wicek, farba!

Kociołek drapie znowu po brzuchach kopuł. Kosiba wypina się ukośnie. Pręży muskuły. Przechyla się nad nim sklepienie niebieskie.

Ilekroć Kosiba przeważa się na linie i twarz ma zwróconą w niebo, z lubością patrzy na ten niczem nie zasłonięty, nagi błękit. Zawsze w chwilach takich przychodzi mu na myśl tłumaczenie brata, dlaczego niebo jest lazurowe. O tem mówił brat Franek. A Franek musi wiedzieć. Ho, ho . . .

Kosiba w zamyśleniu patrzy w niebo. Wypuszcza pendzel z ręki. Pendzel waha się na sznurku u pasa poważnie i długo, jak poważnie i długo myśli Kosiba. Może myśli o tem, co jest tam za błękitami. a może o biednym i chorowitym bracie Franku, ślęczącym długo w noc nad książkami, gdy szczury gryzą mu pod podłogą i przez dach do izby przecieka deszcz.

Chrzęst żelaziwa w zegarze wieżowym jak skrobanie szczurów pod podłogą, gdzie mieszka z Frankiem i spiżowe kroki godzin plączą mu się w myśli. Rozgląda się, jak człowiek wyrwany z głębokiego snu . . .

Zegar grzmoci miarowo. Pendzel chwieje się w takt jego uderzeń tam i sam. Z rynku niesie się na wieżę jarmarczny rozgardjasz.

Słońce doskwiera. W jazgot syren fabrycznych wpada szczekanie sygnałów kolejowych i szklany śmiech sygnaturki na „aniołpański".

Kosiba woła na Wicka. Koło kwiczy. Praży blacha pod sto-

Walerjan Nitt.

Uliczna tragedja.

Wiatr wypluła ulica, krztusząc się kłębami śniegu.
Zagwizdał melodję nocy, zadął na organach płotu —
poleciał do latarni do rogu, objął ją w biegu —
przywarł do ust jej szklannych pomalowanych złotem.

— — — — — — — — —

A płomyk tańczył, śmiał się, z wiatru drwił —
a on szalał — to pieścił ją — to z gniewu bił!
A płomyk malał — to rósł i drgał —
a wiatr to padał — to wił się i łkał.

Aż zawył głucho — trzasnął w gałęzie —
zatoczył się w konarach —
szumiał — huczał ponuro, groził że wróci jutro —
i tylko szyby latarni — może z żalu — cicho dzwoniły
— cichutko —

— — — — — — — — —

Rano odniosło wiatr ze świtem
od stop latarni na śniegowych marach.

pami. W dzwonnicy pachnie podgrzaną sosną i kurzem. Drabina skwierczy. Nawy kościelne grzęzną w utulnym chłodzie.

Przed kościołem stoi ksiądz. Dłonią osłania oczy od słońca. Patrzy na wieżę.

— Uwijajcie się chłopcy z robotą, bo w niedzielę będzie tu biskup. Wieża musi być gotowa, inaczej nie dostaniecie w sobotę ani funia.

Zanurza ręce w rękawach sutanny i idzie na plebanję. Kosiba skręca papierosa. Bibułka zachodzi w palcach czerwienią.

— Ciekawość, co za przyjemność będzie miał biskup w tem, czy wieża będzie odmalowana, czy nie? — przelatuje mu grdyka na widok pryzmy granatowych śliwek w rozłożystym koszu, pod którym rzęzi workowaty handlarz.

— Wicek, skocz gdzieś po śliwki. — Kosiba czuje w ustach spiekotę. — Powłóczy nogami przez korytarz plebanji. Korytarz plebanji stygnie grubym cieniem Przez otwarte drzwi kuchni czuć jędrny zapach rosołu i słychać brzęk talerzy. Kładzie się w ogrodzie pod drzewami i czeka na Wicka. Usypia jednak przed jego powrotem. We śnie widzi biskupa. Biskup leci w powietrzu. Rozwiewa się za nim czarna kapa pisana złotem i wiatr odyma śnieżnobiałą komżę. — Pięści gromko zaciska nad swą rozwichrzoną głową. Twarz ma jakąś obojętną. Twarz ta rośnie, olbrzymieje, rozmgławia się, przenika Kosibę.

Kosiba budzi się raptownie. Twarz ma nasiąkłą krwią i podrutowaną odciskami trawy. — Obok charczy Wicek zwalony w trawę nawznak. Na koszuli jego jełczeją zielone rzygociny. Kosiba patrzy mu pod nogi i wykrzywia usta pobłażliwie. Pod nogami Wicka leży rozerwana, pusta torba i patrzą z trawy mokre pestki śliwek.

Pod wieczór następnego dnia, kiedy Kosiba kończy malowanie górnych kopułek i myśli, czy naprawdę każde jego pociągnięcie pendzlem zakłóca ruch planet, huczą pod nim dzwony, jak skowyt rozjuszonych lwów w zamkniętych wagonach. Niebawem zajeżdża przed kościół karawan. Skwierczy, jak świeżo malowane drzwi. Mężczyźni straszący dzieci napoleońskiemi kaskami, podejmują się pod trumnę. Twarze utrefiają bólem i rozpaczą, jakby w trumnie leżał ich zarżnięty szwagier.

Słychać harmider organów. Przez otwarte drzwi kościoła niesie się zapach spalonych świec.

Kłócą się znowu dzwony. Karawan zgrzypi. Wykręca się niezdarnie w wąską uliczkę, w której tej nocy będzie się o nim śniło dzieciom i dzieci krzyczeć będą na śnie.

Kosiba patrzy chwilę za karawanem, przechylającym się nad ściekiem ulicznym. Tłum kołysze się za nim i kwęka żałosne psalmy, jak stado kaczek, zaniepokojonych nadchodzącą zimą.

— Śmiesznie odchodzisz człowieku od życia jak i śmiesznie przychodzisz. Grabarz opuści twą trumnę do ziemi. Wyciągnie chrobotnie sznury. Żona, czy ktoś inny — wszystko jedno — rzuci ci na wieko grudkę ziemi, poto, aby jedna grudka była w grobie więcej. Babki cmentarne zaględzą litanję i dostaną za tę fatygę parę miedziaków. A może nic nie dostaną. Może nie będzie im kto miał dać.

Potem każdy wróci do swych kłopotów. Karawaniarz, najlepszy warjat w mieście, upije się nocą, dostanie torsyj. Nazajutrz wstanie do dnia i będzie Boga prosił, aby ta kto zacniejszy wyciągnął kity i aby karawan nie musiał rdzewieć w postoju.

I to ma być życie? A przecież Franek mawia, że życie jest piękne, choć nocą trzęsie się z zimna pod kołdrą i kaszle. Kto wie o jakiem on życiu myśli? Chyba nie o ludzkiem? Niechby tym ta — patrzy daleko w dół na małżeństwo, stojące w wykoślawionych butach na rynku przy studni i strzaskanym głosem śpiewające o „zimnym draniu” aby ktoś rzucił miedziaka do kłapciatego kapelusza na ziemi — niechby tym tam powiedział, że życie jest piękne, dostałby parę razy w mordę.

Kosiba odwraca twarz. Poprzez dym kominów fabrycznych przeziera czerwone słońce zachodu.

— Wicek ściągaj linę.

Nazajutrz Kosiba bimba się na linie przy świetle zodjakowem jeszcze, bo na noc zapowiada się deszcz i nie wiedzieć, czy jutro można będzie malować. A tu w niedzielę przyjeżdża biskup. I następnego dnia pada rzeczywiście deszcz i z robotą trzeba przeczekać.

Kosiba chodzi po deszczu i moknie. Co mu tam deszcz. Zresztą na dworze rzeźko się myśli, a Kosiba myśli o tem, jak to Franek ostatnio pięknie mówił o powstaniu żywej komórki, której człowiek zawdzięcza swój znikomy pobyt na tym nieprzyjaznym mu globie.

Około południa przeciera się niebo. Kosiba siedzi w dzwonnicy na drabinie i pod światło wystawia „Głupca”. Raz po raz zerka na niebo poprzez kraty okna. Wraz z niebem rozpogadza mu się twarz. Wicek siedzi na zczerniałej krokwi naokrak i miesza farbę. W powietrzu czuć pokost Na krokwiach bieleją się pokłady z niedopałków papierosów.

— Nic ino studenci tu ćmią w czasie egzort — śmieją się Kosibie oczy na wspomnienie tego życia. Za kilka lat wypchają tutkami całą wieżę.

— No nieboraku — Kosiba składa książkę i klepie Wicka w ramię— po deszczu. Trzeba iść. Nim się wydrapiemy, wieża ocieknie. Linę przymocuj fest i zejdź zamknąć drzwi na dzwonnicę, bo tutejsi malarze grożą nam za odbicie im pracy. Mogą odciąć linę, albo co.

Wicek potakuje głową bezmyślnie. Przeciąga mokrą linę przez wyzior w wieży i okręca około krokwi. Resztującą część zwija w pierścień. Wyrzuca wyziorem Kosibie. Kosiba łapie ją sprawnie i przewiązuje się w pasie.

Słońce po deszczu patrzy, jakby tym deszczem wymyte. Z blachy spija żyłki wody. Blacha paruje jak moczary pod wieczór. Kosiba stoi na sznurowej drabinie. Drabina się napina. Pod stopami Kosiby ocieka różańcem burych kropel. Farba mlaska pod pendzlem, jak brodzenie kaczek w błocie. Spoidłem blachy czołga się zielona gąsienica. Grzbiet ma pocechowany czarnemi pręgami. Grzęźnie w świeżej farbie. Szpera mackami tu i tam lecz nie może z niej wygramolić tułowia.

Kosiba śmiga pendzlem koło gąsienicy i obserwuje jej rozpaczliwe szamotanie się w

S. Rymsza.

W Leszczynach.

Nałęgna leszczyna: oczy pełne łez.
Bukiet gasnących konwalij bielił melodję żniw.
W znużonym nieboskłonie
Załamał się w stawie dzień pod lasem w długie
dudnienie, w daleki jak zachód
bez.
Szelest szyszek igliwiem owiany i słodki, choć
gorzko pachnie
w drzew pogłosie chłonę - - -

A daleko: sen niebieskich łubinów, cicho we
mnie graniem żyta grany
I drzewa. Drzewa śpiewają buro. — Modrym
pragnieniem po drodze z szafranu.

Ugór mglisty wrony i wierzby wyłania - - -
Zwysoka żywicą jodeł las łąkami nadciąga
i trawą z nadrania - - -

Dzień cichy: oddal zadumę opuszczonych
gniazd w lato ptasząt — które
rozkwitłe uwiodły leszczyny. Maj, las, pola:
Dziś tak ten sen wyprzedzam - - -
Na ręce napowrót

Wieczornie osnuwam odchodzący ogród
I widzę:

czarny kędzior dniał dreszczem, gdy
w czerwone jagody w zagaj iść
zielony nagle.

Uciszyć szedłem ten krzyk. Po grobli między —
Rogów zgubionych las bladością srebrniejącego
dnia. Obnaża naśpiewane w burzan
Kwitnienie zgarniętej z pola przędzy.

---

lepkiej farbie, podobne szamotaniu się człowieka tonącego w bagnie.

— Poco toto wylazło aż na wieżę szukać śmierci?

Odczepia ją palcami i kładzie na suchej blasze. Gąsienica pełza ociężale. Pozostawia za sobą czerwony, kręty ślad. Kosiba obserwuje jej ruch i myśli skąd ludzie doszli do wniosku, że gąsienica zna jeden tylko wymiar i czy człowiek był naprawdę kiedyś jednowymiarowcem? Jaszczurem?

Nad kościołem trzepoce stado kawek, jak czarna chorągiew na wietrze.

Kosiba wisi na linie i przerzuca do słońca drabinę po brzuchu pękatej kopuły. Stara się malować jej powierzchnię w takiem tempie, aby dotrzymać kroku promieniom słonecznym, przesuwającym się po niej żółwio lecz nieubłaganie. Przynagla się więc Kosiba. Bo i lżej się pokrywa farbą ciepłą blachę i wieczór jest na karku, a tu biskup jutro przyjedzie i wieża przynajmniej raz musi być malowaną. Inaczej nie dostanie ani funia.

Kawki opadają na szczyt wieży i czkają przeraźliwie. Siadają na wskazówkach zegara i przesuwają je o kilka godzin naprzód.

Kosiba uśmiecha się. Słyszał, że tubylcom kawki regulują życie. Bo gdy tak przekręcą wskazówki o kilka godzin, o kilka godzin wcześniej tu wstają ludzie i wcześniej idą spać. Rada miejska zbiera się o tyleż godzin wcześniej, niżby należało i o tyle godzin wcześniej plotkują piersiate matki miasta. Naciąga go z namaszczeniem wąsaty milicjant, pono grabiami. Zegar ten dla wszystkich instancyj w mieście jest miarodajny. Nie pomoże ani świętyboże. Niechby ktoś poważył się zbeszczecić jego sędziwy, zardzewiały autorytet. (prócz kawek) — skończony w opinji miasta. Luter, komunista, psiakrew.

Niechby — myśli Kosiba — niechby kawki przekręciły te wskazówki miljardy razy około tarczy, możeby ci ludzie naprawdę podążali za niem ze swem życiem. Prędzejby je skończyli. I tak się ono przydaje psu na buty. Bo i poco oni tu żyją? Żeby przywdziać nowe, wymierzone na rękach, wychandryczone gacie na przyjazd biskupa, czy wyglansować nosy butów „najlepsią pasti" i uważać aby ich w tłumie nie podeptano?...

Na ziemię opada zmierzch. Zachodni nieboskłon podszywa się gumigutą. Kosiba z przykrością stwierdza zachód słońca w zadymionem powietrzu miasta. Łuna zachodu kładzie się na skośnych dachach kamienic.

Na rynku przed kościołem przystają malarze. Wracają z pracy na budowie. Kapelusze i spodnie upstrzone mają tynkiem i farbą. Marynarki są czyste. Zdejmują je widać przy pracy.

— Co ty, Paweł, nie wziąłeś tej roboty?

Człowiek zwany Pawłem wzrusza ramionami.

— Heretyk jestem, zapora od piekła, nie wisz? Nimoge świętych rzeczy malować.

— To ten Kosiba musi być chyba świętoszek?

— Pieron go wi. Bo niektórzy mówią, że herszt od niedowiarków.

— Toby się dopiero ksiądz pokiwał, no.

— Ksiądz się pono dowiedział. Pluł żółcią, ale cóż, kiedy Kosiba już połowę wieży odwalił.

Cierpki śmiech leci w górę ku Kosibie.

— A ty czemu, Hieronim, nie malujesz tej wieży, tylko te przybłędy?

— Pijak jest. Ksiądz się boi, że spadnie i skręci kark — odpowiada Paweł za stojącego obok Hieromina.

Hieronim nie słucha, co o nim mówią. Z zazdrością w oczach patrzy wysoko — wysoko na Kosibę.

— Ale to ci obwieś — obok Dominika rajcują o Kosibie malarze. Nabił księdza w butle. Niema co.

— Cwana sztuka ten Kosiba, powiadacie.

— A pies mu mordę lizał, mruczy z zawiścią Hieronim. Rani go każde słowo o Kosibie. Odmachuje się od nich w duchu oburącz. Przeżuwa przytem myśli, ileby tu można zarobić przy takiej robocie. Ileby to było wódki. A piwa . . . Donnerwetter! . . . Możnaby pić takiemi kuflami, jak ta największa bania na kościele.

O zmroku, kiedy Kosiba pospiesznie pora się z ostatnim skrawkiem blachy na zgurbach karku wieży, a blacha puka pod pendzlem w rzęsisty mrok, wyczuwa z lękiem, że rozluźnia się pętla na krokwi — lina się wysnuwa wyziorem centymetr za centymetrem — nieubłaganie, „zdradziecko“, cichaczem, jak kot z okienka na strychu, podchodzący gołębie na dachu . . .

Kosibie zastygła ręka nad kociołkiem z farbą. Nieufnie patrzy w dół, w czerniejący się w mroku wyziór. Serce brzęknie mu złem przeczuciem. Ciśnie się do gardła. Dławi. Kosiba chce krzyknąć na Wicka, chce się czegoś ułapić.

Wte razy ostry kwik kołowrotka wwierca się świdrem w uszy Kosiby. Węzły liny grzmocą go pięściami po twarzy. Rozpaczliwie młynkuje ramionami. Upada pokracznie nawznak na okap dzwonnicy, chce się wpić w śliską, mokrą blachę paznogciami, palcami nóg, zębami. Zwozi się jednak na kolanach i łokciach. Blacha okapu szczęka.

Nazajutrz w niedzielę nastaje tu dzień od innych inny. Z parapetów okiennych obwisają ochwacone dywany. Około południa dziewczęta w białych krochmalonych fartuchach, podpasanych niebieską szarfą, podejmują się pod lektyki takich-to a takich świętych. Wychodzą pod bramy miasta. Zpowrotem, z odrzuconemi dufnie głowami przyprowadzają biskupa. Bo i jakże tu nie dufać. Przed biskupem się z obrazami idzie przecie.

Biskup się zżyma; nogi z pod białych fartuszków wyplątują się poważnie i powoli . . .

Do kościoła daleko . . .

Biskup szturka szofera w łopatkę. Z motoru dobywa się ryk, jak z gardzieli dobijanego żubra. Białe fartuszki rozsypują się i pokrzykują, jak stado gęsi. Auto wlecze za sobą tren pyłu. Grzmotliwie pnie się pod górę do rynku. Tłumy wyciągają szyje. Chwieją się. Dzwony tłumią szmery głosów.

W gdakanie dzwonów wpada chrobot biskupiej limuzyny.

Na biskupa czekają z baldachimem ojcowie miasta. Tłum rusza w stronę kościoła. Rejwach dzwonów, śpiewów i kapel uwiera w uszach. Nad głowami duszpasterzy podryga kraciaty w złoto baldachim. Drzewce baldachimu rozkraczają się w rękach ojców miasta jak nogi pod miesięcznym cielakiem.

Na schodach kościelnych rozpękają masy. Tupot nóg walczy z głosami o pierwszeństwo. Wierni garną się do rąk, do szat biskupa — gdzie popadną. Całują ciepłe, białe dłonie.

Biskup automatycznie wyciąga ręce pokolei do każdego. Każdy przyklęka i całuje. Biskup patrzy w tłum i zda się go nie widzieć. Jakby poprzez ten tłum patrzał gdzieś w przestrzeń. Ale się uśmiecha.

I oto wyciąga prawicę do kogoś przed siebie i prawica zawisa w powietrzu. Nikt jej nie całuje. Ocuca to biskupa, jak postój pociągu ocuca ze snu śpiącego w czasie jazdy pasażera.

Ze sromem w oczach patrzy w twarz Kosiby, zaciekłą krwią.

Pręży rękę, wisząca w powietrzu bezładną kłodą. Ruchem stanowczym podsuwa ją Kosibie. Muskuły na twarzy Kosiby grają wahaniem. W ustach ma odwar piołunu. Zwycięża naokolne szemranie. Kosiba ujmuje w swą rosochatą dłoń jedwabistą kiść ręki biskupiej.

Biskup patrzy na tę pękatą, poprzerastaną farbą rękę Czuje lepkość farby, topiącej się w nagrzanej nadmiernie, rozrosłej dłoni. Kiedy z niecierpliwością uwalnia się od niej — na wierzchu swej ręki widzi odbite, czerwone, grube palce Kosiby.

Przed oliwkowemi oczyma, co w nie tak twardo patrzy Kosiba, staje mu pucułowata wieża, którą widział z daleka ze wzgórków podmiejskich, łyskającą się w słońcu nad miastem prześmiewną czerwienią . . .

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Dr. Michał Asanka-Japołł: Odpowiedź listownie.

P. R. S., Kraków: Wiersz został przyjęty. Prosimy podać nazwisko, bo pod kryptonimami nie drukujemy.

P. E. B. (Łódź, albo Kraków?) Owszem prosimy o nadsyłanie artykułów. Co się tyczy „Zagadnienia stosunku ...“ to ostatecznie nie dochodzi Pani do żadnego wniosku, a fakty, które Pani stwierdza, są ogólnie znane, więc niema w artykule nic, coby go predestynowało do druku.

P. M. A-n. Kraków. Odpowiemy przy następnym numerze.

„Powódź szaleje“ (bez podpisu). Rzecz nie jest zła, ale sam temat jest już nieaktualny, więc szkoda nam miejsca.

P. Józef. Z-a, Krzeszowice: To jeszcze nie jest poezja.

P. Jerzy L-u, Kraków: Tak jak jest to nie jest nic. A szkoda, bo z tego tematu można było coś zrobić. (Proszę tylko rozumieć tak, jak napisaliśmy, a nie domyślać się między linjami żądania zmiany stanowiska ideologicznego).

Tych, którym nie odpowiedzieliśmy, przepraszamy, ale ze względów organizacyjnych nie możemy nieraz udzielić odpowiedzi bezpośrednio; znajdą ją w następnym numerze.

O Weiningerze i Krzywickiej.

Stara książka Weiningera p. t. Płeć i Charakter, która zrobiła swego czasu dużo hałasu, posiada mimo patologicznego charakteru pobudek i genezy (a może właśnie dla tego) kapitalne obserwacje.

Jedna z nich odnosi się do stosunku seksualizmu do pracy intelektualnej i codziennego życia człowieka.

Aby zilustrować tezę o którą mi chodzi dam przykład, który na pozór nie będzie odznaczał się niczem specjalnem, bo tak bardzo przyzwyczailiśmy się do tego rodzaju historji: Panna X studjuje dowolną dziedzinę i chodzi na uniwersytet. Po pewnym czasie panna X zakochuje się w panu Y, rzuca naukę i wychodzi zamąż. Jest najjaskrawszy przykład na to, że miłość absorbuje kobietę tak dalece, że gdy kocha, to niema czasu na nic innego. Twierdzenie to jest uznane naogół w nowszej psychologji (patrz np. Croner: Psychika młodzieży żeńskiej). Ta sama teza da się zilustrować przy pomocy mniej jaskrawych przykładów, kiedy to dana panna na krótszy okres czasu ucieka od swoich zajęć lub robi to w innej formie. Ale zdarza się stosunkowo często że karjera np. przyszłej lekarki zostaje raz na zawsze przerwana przez miłość. Twierdzenie powyższe niema pretensji do reguły jak zresztą wszystkie tego rodzaju, ale pozwala w specjalny sposób spojrzeć na ostatnią powieść Krzywickiej p. t. „Zwycięska Samotność".

Idea tej powieści wprowadziła niektórych krytyków w zdziwienie i zamieszanie. Wielu pytało: — Jak samotność może być wogóle zwycięską? Ale pytanie tego rodzaju nie było też na miejscu, bo ta samotność jest jakaś dziwna: Bohaterka ma „pracować społecznie", a oprócz tego spotykać się z kochanym mężczyzną, wtedy, gdy będzie miała czas na miłość. Napozór poza tytułem tomu niema w tem nic dziwnego. Jest to sytuacja, którą zapewne zna każdy męski czytelnik. Ale dla kobiety jest ona zwycięstwem. Fakt, że Helena będzie pracować (dobrowolnie, zprzyjemnością) i równocześnie spotykać się z Piotrem uprawnia autorkę do dania paradoksalnego napozór tytułu „Zwycięska samotność", która dla mężczyzny nie jest ani zwycięska ani samotna.

Przy tej interpretacji stanie się może powieść Krzywickiej bardziej usprawiedliwiona.

L. L.

Kinofonja.

Uważając film dźwiękowy za niezmiernie ważny a dotąd jeszcze bynajmniej niewyzyskany w pełni czynnik propagandy muzycznej — muzycy francuscy skierowali swoje wysiłki ku stworzeniu dźwiękowca nowego typu, który nazwali „kinofonją" (neologizm Vuillermoza, znanego pisarza i krytyka muzycznego). Nowość pomysłu polega nie na zastosowaniu muzyki do filmu — bo przecież od pierwszej chwili kinematograf posługiwał się muzyką ale niejako na odwróceniu ról: nie muzyka „dobierana" do obrazu, ale idealna transpozycja wizualna elementów dźwiękowych, obraz rzucany na ekran jako przedłużenie pomysłu muzycznego, utwór muzyczny jako pretekst do filmu. Bo punktem wyjścia dla nowego filmu, o którym mowa, będzie wykonany w całości, utwór muzyczny i to w idealnie doskonałej interpretacji, która ma stanowić zarazem dokument muzyczny — dokument gry najznakomitszych wirtuozów współczesnych, w dodatku — z interesująco pomyślanemi zdjęciami wykonawcy muzycznego i jego sposobu grania, z uwydatnionemi na filmie szczegółami techniki, jak palcowanie, smyczkowanie i t. d.

Ponieważ wykonawcami muzycznymi mają być wielcy artyści, jak: Thibaut, Cortot, Piatigorski, Brailowski, Ninon Vallin, Elisabeth Schumann, Paderewski, Rubinstein etc., a muzyka wykonywana składać się ma wyłącznie z dzieł o wysokiej wartości (Schubert, Chopin, Debussy etc.) — strona muzyczna tych „kinofonij" będzie w stanie niewątpliwie zadowolić najwybredniejsze wymagania melomanów, nie mówiąc już o wartości pedagogicznej uwiecznionych na taśmie wzorów wykonania i o propagandzie pełnowartościowej muzyki w pełnowartościowem wykonaniu.

Pierwsze trzy kinofonje zostały zrealizowane przez znanego inscenizatora D. Kirsanoffa i wyświetlane są obecnie w kilku kinematografach w Paryżu. Są to: Les Berceaux G. Faurego w wykonaniu znakomitej śpiewaczki Ninon Vallin, którą niedawno podziwialiśmy w Warszawie. La Fontaine d'Aresthuse Karola Szymanowskiego w wykonaniu genjalnego skrzypka Jacques Thibaud i pianisty Tasso Janopoulo (słyszeliśmy to wykonanie w Warszawie: jest niezrównanie piękne). Wreszcie — Jeune fille au jardin Mampou z tancerką Sacharową na ekranie, Magdą Taglaiferro przy fortepianie.

Kronika muzyczna.

Komisja Kwalifikacyjna P. T. M. W. zakwalifikowała do druku następujące utwory współczesnych polskich kompozytorów: R. Palestra — „Muzyka symfoniczna". M. Kondrackiego „Żołnierze", E. Woytowicza — Kwartet smyczkowy, P, Perkowskiego — Koncert skrzypcowy, F. Łabuńskiego, „Triptique champetre", J. Maklakiewicza — Koncert wiolonczelowy, K. Sikorskiego — II Symfonję, St. Wiechowicza — „Chmiel" (I. ed.), J. Fitelberga — Sonatina na dwoje skrzypiec K. Szałowskiego — Uwertura.

Grzegorz Fitelberg ,został zaproszony do Luksemburga, Brukseli i Wiednia gdzie przed mikrofonami radjostacyj będzie dyrygował koncertami, poświęconymi muzyce polskiej współczesnej i dawniejszej.

Zbigniew Drzewiecki będzie koncertował we Wrocławiu, Luksemburgu i Brukseli, gdzie wykona utwory Szymanowskiego, Maciejowskiego i Ekiera.

Irbana Dubiska koncertowała w Berlinie w sali Beethovena: między innemi grała utwory Karola Szymanowskiego.

Ziuta Buczyńska występowała kilkakrotnie z recitalem tanecznym w Sztokholmie. Tancerka wykonywała polskie tańce ludowe i tańce do muzyki młodego kompozytora współczesnego Jana Ekiera.

17 marca w sali Pleyela Colette Franz wykonała II koncert skrzypcowy Jerzego Fitelberga. Było to pierwsze wykonanie, koncert ten został ukończony we wrześniu, w Paryżu. —

Berlińska rozgłośnia włączyła do programu ludowego operę „Genowefa" Aleksandra Ecklebe. Włoskie rozgłośnie — operę Francesco Malipiero p. t. Orpheide, która wykonana zostanie w teatrze La Fenice w Wenecji i transmitowana przez wszyktkie rozgłośnie włoskie.

Sezon muzyczny.

Ostatni koncert symfoniczny stał pod znakiem inteligencji dyrygenta oraz symfonji Sibeliusa, która miała być punktem szczytowym programu.

Co do dyrygenta, pana Neumarka, to należy zaznaczyć, że jest on niezwykle sumiennym i kulturalnym interpretatorem, a utwory wykazują dokładne przemyślanie i wykonanie (p. Neumark miał podobno sześć prób).

Symfonja Sibeliusa № 2, składa się z trzech części, z których pierwsza jest niedorozwinięta, trzecia pusta, a druga stoi na dość wysokim poziomie. Wykazuje ona ponure, ostre gotyckie kontury i jest celowo „chudo" instrumentowana. Mimo tego nie uważam, aby zaprezentowanie nam tej symfonji było potrzebne; to samo odnosi się do uwertury „Morskie Oko" Noskowskiego.

Pozatem pani Familier-Hepnerowa zagrała koncert Es-dur Liszta wykazując miłą muzykalność. Nie była ona technicznie bez zarzutu (słabe oktawy).

Józef Wagner jest znakomitym pianistą i olbrzymim człowiekiem, który lubuje się w maleńkich, srebrno-mozartowskich gamkach. Nie przesądza to faktu, że preludja Szopena i walc Bramsa grał jak guwernantka, a rozczulanie się i omdlewanie przy polonezie As-dur nie było też na miejscu.

Natomiast warjacje Mozarta, Scherzo e-moll Mendelsohna i sonata f-moll Bramsa stały na najwyższym poziomie.

Ciekawe jest to umiłowanie miniatury ze zdolnością do tak świetnego konstruowania rzeczy monumentalnych.

Na zakończenie należy zaznaczyć, że filigranowatość Wagnera przechodzi często w manierę i działa jak za słodkie konfitury (etiuda Liszta).

L. L.

ACADEMICA.

Walne Zebranie B. P. S. U. J.

(j) Na porządku dziennym było: sprawozdanie z poprzedniego zebrania, sprawozdanie z działalności B. P. S. U. J., preliminarz budżetowy, wolne wnioski.

Co się tyczy I-szego to zostały zgłoszone 2 wnioski: jeden, żeby sprawozdania nie odczytywać publicznie, a tylko delegować 3 kolegów dla jego zbadania, drugi, żeby odczytać interpelacje i wolne wnioski i zbadać o ile wpłynęły na działalność zarządu. Przeszedł wśród ogólnego aplauzu wniosek pierwszy. Uważamy, że to było absolutnie niesłuszne, bo są ostatecznie pewne zwyczaje, które należałoby zachować; między innemi odczytywanie sprawozdań. Zwłaszcza, że potem w dyskusji powoływano się na postanowienia tego zebrania.

Co się tyczy II-giego, to postanowiono odczytać tylko sprawozdanie wydziału i zarządu, sprawozdanie komisji kontrolującej, oraz bilans.

Nad sprawozdaniem z działalności wywiązała się dłuższa dyskusja godz. 21·55 — 1·30 Przedstawimy ją nie w porządku chronologicznym, lecz według zagadnień.

Najwięcej może mówiono o utrudnianiu przed wyborami wpisów i niedopuszczeniu wpisanych po 1-szym lutym do wyborów. Atakowali to postanowienie mówcy ze stronnictw narodowych, bronili mówcy z Z. P. M. D. i Strzelca.

Zarówno w zarzutach, jak i w obronie, mimo ciągłego powoływania się na dobro studentów, wyraźnie było widać, że chodzi tylko o sale partyjne. Atakujący bowiem, powołując się na to, że im więcej członków w Bratniaku, dla jakichkolwiek nawet celów zapisanych, tem lepiej, bo więcej jest pieniędzy i łatwiej o pomoc dla niezamożnych i atakowali Zarząd, że nie powinien utrudniać wpisów, choćby nawet wiedział, ze są dokonywane dla celów partyjnych; ale z drugiej strony zarzucali Z. P. M. D., że wpisywał swych członków poza godzinami urzędowemi i w tym wypadku już nie trzymali się zasady, że im więcej członków, tem lepiej. Że zaś Zarządowi szło też o cele partyjne przy utrudnianiu wpisów, to oświadczyli sami koledzy z Z. P. M, D. i Strzelca przy obronie jego działalności.

Doprawdy, dobrzeby było, żeby się znalazł wreszcie ktoś, ktoby bronił interesów nie stronnictwa, lecz Bratniaka i przyjmował zapisy i teologów i medyków i zapisy poza godzinami urzędowania, bo przecież idzie nie o to, kto będzie wyżywał swe instynkty despotyczne na stanowisku prezesa, lecz o to, by jaknajwięcej było pieniędzy dla niezamożnych studentów.

W dalszym ciągu dyskusji krytykowano politykę pożyczkową zarządu. Zarzucono mu, że pożyczki rozdaje stronniczo, czego objawem naprzykład jest fakt, że do uzyskania pożyczki nie wystarcza urzędowe świadectwo ubóstwa, lecz trzeba załączyć opinję Koła Prowincjonalnego.

Również stronniczo były omawiane wysokie stosunkowo koszta administracji B. P. S. U. J. Mianowicie dopóki były omawiane wydatki zarządu ustępującego, znajdowało się b. wielu mówców, którzy je ostro krytykowali, natomiast gdy przyszło do uchwalenia preliminarza budżetowego na rok przyszły, nietylko zostały zatwierdzone dawne wydatki, nietylko została przyjęta zaproponowana przez zarząd podwyżka wynagrodzenia prezesa z 50·— na 80·— zł, ale jeszcze zostało uchwalone wynagrodzenie dla wiceprezesa w wysokości 30·— zł, miesięcznie. Poprostu co innego jest krytykować innych, kiedy biorą pieniądze, a co innego dyskutować o pensji, którą może się samemu po wyborach otrzymać.

Po dłuższej dyskusji, czy udzielić absolutorjum Zarządowi z kol. Soboniem, czy bez niego, a nawet tajnem głosowaniu (trwało 40 minut) udzielono absolutorjum całemu zarządowi.

W wolnych wnioskach przeszedł bez dyskusji szereg zmian statutu w sprawach formalnych. Wywołał natomiast pewną dyskusję, wniosek o uchwalenie paragrafu aryjskiego (właściwie chrześćjańskiego). W uzasadnieniu wniosku podał referent (stronnictwa narodowe) fakt, że zasadniczo w B. P. S. U. J. żydów niema, więc nic się nie zmieni, pozatem żydzi mają swoje „Ognisko", nikomu więc nie stanie się krzywda; correferent (Z. P. M. D., albo Strzelec) wyraził przekonanie, że żydów w B. P. S. U. J. zasadniczo niema, więc uchwała jest niepotrzebna, a Bratniakowi może przynieść tylko szkodę. Innych argumentów nie poruszano. Wniosek przeszedł przy 2 wstrzymujących się od głosu i 53 głosujących przeciw (na sali było około 550 osób). Niedługo po tej uchwale zebranie zostało rozwiązane.

Jeżeli chodzi o bilans, to o najważniejszej sprawie, o akcji o obniżkę czesnego nie dowiedzieliśmy się nic, nie mówiąc już o jakichś postanowieniach, bowiem kurator, p. prof. Gwiazdomorski oświadczył, że tej kwestji omawiać na zebraniu nie pozwoli i odbierał głos, gdy ktoś chciał o tem mówić. O sprawach, które miały coś wspólnego z zadaniami Bratniaka mówiono najwyżej godzinę (kolonja w Pławnej, fiasko Balu Akademickiego, niektóre fragmenty dyskusji o wpisy) resztę poświęcono na walkę o władzę między stronnictwami.

Walne Zebranie S. Ż. S. U. J. „Ognisko".

Dnia 1 marca odbyło się w sali Kopernika Coll. Nov. 39 Walne Zebranie „Ogniska". Zebranie zagaił prezes mgr. Wolf, oddając na wstępie hołd pamięci Marszałka Piłsudskiego Wielkiego Rzecznika idei sprawiedliwości. Dalszą część przemówienia poświęcił prezes omówieniu działalności samopomocowej Zarządu Stowarzyszenia który przy skromnych środkach finansowych czynił horendalne wysiłki dla polepszenia katastrofalnej sytuacji żydowskiej młodzieży akademickiej. Jednocześnie złożył wśród hucznych oklasków wyrazy gorącego podziękowania na ręce kuratora Stowarzyszenia p. dziekana Taubenschlaga za prawdziwie ojcowską opiekę i pomoc w ciężkiem położeniu. Z szeregu zgłoszonych przed porządkiem dziennym rezolucyj, uchwalono po gorącej dyskusji przez aklamację rezolucję wyrażającą głębokie ubolewanie i protest przeciwko ekscesom antysemickim i upokorzeniom zadawanym młodzieży żydowskiej, oraz wyrażającą sympatję studentom Żydom politechniki lwowskiej za ich niezłomne stanowisko. Pozatem uchwalono rezolucję protestującą przeciw wygórowanym opłatom uniwersyteckim i wyrażającą Magnificencji Rektorowi U. J. podziękowanie za zajęcie w tej kwestji życzliwego stanowiska wobec młodzieży oraz rezolucję głoszącą wyrazy czci i głębokiego przywiązania żyd. młodzieży akademickiej dla Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie Po wygłoszeniu sprawozdań i wniosku Komisji Kontrolującej o udzielenie absolutorjum i wotum zaufania ust. Zarządowi wywiązała się dyskusja prowadzona w bardzo gorącej atmosferze. W dyskusji brali udział przedstowiciele Bloku Żyd. Młodzieży Akad. (ogólni sjoniści i rewizjoniści), oraz reprezentanci opozycyjnego Bloku Samopomocowego (stronnictwa lewicowe, sjonistyczne Z.N.M.A. oraz komuniści). Wykazała ona, iż ustępujący Zarząd zadanie swoje spełnił w 100 procentach. Wskutek spóźnionej pory przesunięto na żądanie większości Walnego Zebrania punkt: wybór Prezesa (reszta członków Zarządu wybierana jest w głosowaniu proporcjonalnem). Wobec zgłoszenia kandydatury dotychczasowego Prezesa mgr. R. Wolfa przez Blok Żyd. Młodz. Akad., kwestję udzielenia absolutorjum i votum zaufania ustępującemu Prezesowi wyłączono z głosowania ogólnego, zarządzając wcześniejsze głosowanie w którem wyrażono znaczną większością głosów absolutorjum i votum zaufania mgr. Wolfowi. Po burzliwej dyskusji nad wyborem prezesa, w toku której opozycyjny Blok Samopomocowy wycofał swego kandydata, wybrano prezesem „Ogniska" wśród ogromnego aplauzu większości powtórnie mgra Wolfa (związek Ogólno-Sjonistyczny „Przedświt") W wznowionej po przerwie dyskusji poruszono ze strony opozycyjnej lewicy, sprawy natury ogólno akademickiej jak strajk i wiec młodzieży studenckiej U. J. przeciw wysokim opłatom, w których przedstawiciele „Ogniska" rzekomo udziału nie brali. Wyjaśnienie Prezesa Stowarzyszenia wykazało iż przedstawiciele władz „Ogniska" jako za-

proszeni przybyli zarówno na zebranie prezesów organizacyj samopomocowych U. J. (gdzie przyłączono się do rezolucji strajkowej), jak i na wiec protestacyjny. Brak podpisu „Ogniska" na rezolucji protestacyjnej wskutek absencji Bratniej Pomocy Stud. U. J. i decyzji władz nadzorczych, zastąpiono enuncjacją ogłoszoną w prasie, solidaryzującą się ze stanowiskiem całej młodzieży akademickiej. Pozatem mimo zaproszenia nie dopuszczono przedstawiciela „Ogniska" do przemawiania na wiecu protestacyjnym. Po zamknięciu dyskusji, udzielono większością głosów absolutorjum i votum zaufania ustępującemu Zarządowi, przy wstrzymaniu się od głosu członków lewicowego Bloku Samopomocowego. Zgłoszona przez blok ten poprawka do statutu o obniżenie ilości podpisów potrzebnych do uzyskania listy nie została uwzględniona. Walne Zebranie zakończono odśpiewaniem narodowego hymnu żydowskiego „Hatikwy".

(O — z).

DO UWAGI KOLEGÓW.

Wprowadzamy dział drobnych ogłoszeń. Będą one zamieszczane pod kolumną „Academica" w cenie 10 gr. za wiersz w szpalcie. Przyjmować się będzie tylko ogłoszenia odnoszące się do życia akademickiego, a więc w sprawie korepetycyj, sprzedaży podręczników, skryptów, zgubionych indexów i tp.

Zaginął index Wyższego Studjum Handlowego na nazwisko Jurkiewicz Jerzy. Uprasza się o oddanie do pedla na W. S. H. lub w Collegium Novum,, albo o przesłanie, jako nieopłaconej przesyłki pod adresem redakcji N. W. 1.

Most.

Pierwszy akt odrazu wprowadza widza w duszną atmosferę środowiska w którem coś się stanie. Szaniawski, mistrz sugestywnego nastroju niepokoju, oczekiwania—odrazu opanowuje widownię, każe jej słuchać i patrzeć. Wszystkich przytłacza most — ta nieobecna na scenie dramatis persona swój cień poprzez warkocze deszczu, co już trzeci dzień leje, rzuca na wszystkich domowników starego przewoźnika. Jemu ten znienawidzony most odebrał pracę, dobrobyt, autorytet u ludzi, a pośrednio i żonę, która uciekła do tego, co na ustawieniu mostu zarobił. Dlatego nienawidzi intruza, nie jak rzecz, ale jak prawie równego sobie wroga. W ciemną noc podpiłowuje falochrony filarów. a wie że kra ruszy i most musi runąć — i runął. Jakże teraz syn przewoźnika, Tadeusz zdoła na czas wysłać na konkurs plan wspaniałego budynku „Ligi obrony człowieka". Praca tylu dni, nadzieja ich dwojga, Tomasza i jego narzeczonej Heleny, przepadła! A stary przewoźnik odżył — wróg zginął — znów on jest panem na przewozie. On plany zawiezie! Chcą go zatrzymać— przecie nikt teraz nie przejedzie — kra wali — śmierć pewna! Groźne i sta nowcze „ja tu rządzę!" zmusza ich do milczenia. „Zostańcie z Bogiem". A oni rzucili się do szyb. Każdy ruch jego wiosła, każda napierająca na wątłą łódkę kra, to straszne szarpnięcie nerwami. Jeden Jasiek, głupawy parobek, zdaje się nie odczuwać grozy sytuacji „on człowiek z wody" wie, że niebezpieczeństwo istnieje, ale to przecie „nasz pon!" Aż wrzasnął: „wylądował!".

Między Heleną i Tomaszem coś się rwie. Świadomość, że nie przeszkodził ojcu w tej szaleńczej wyprawie, że raczej powinien był porąbać łódź, a nie dać mu jechać, odsuwa go od tej, która sprowokowała starca do szukania niebezpieczeństwa co powstrzymała go od spełnienia synowskiego obowiązku swą wiarą że ojciec przepłynie. Helena twierdzi że miała prawo dla wielkiej idei, za realizację gmachu, który ma stać się wyrazem najlepszych dążeń ludzkości, ryzykować życie. Zapomina, że nie wolno jej poświęcać życia cudzego i że plan jest — no... jednym z tysiąca! Ale kobieta ma tą podświadomą siłę, która niejednokrotnie o wiele bystrzej pozwala jej widzieć niejedno, o wiele lepiej niejedno oceniać tem właśnie „czemś", co w niej przemawia, niż to potrafi logiczny mężczyzna. Przewoźnik wrócił. Nie wie — ani on, ani Tomasz — że za chwilę zjawi się policja, bo odkryto że to on pomógł wodzie zabrać most. Wrócił lepszy, weselszy, bo go sumienie gryzło, a Helena swym wyzwaniem dała mu możność ekspiacji, teraz mu dobrze, jak już od tylu lat nie było. Tak radośnie, że stary zgryźliwie uśmiecha się do odświętnie nakrytego stołu. Bije dziesiąta — wsuwają się sylwetki ajentów... Helena, co tylko tyle wyprosić zdołała od sumiennego, ale w swej szpiclowskiej skórze głęboko po ludzku czującego agenta — zwiesza smutno głowę.

Autor, dając zwycięstwo głosowi wewnętrznemu Heleny, przyznając, że to „coś" lepiej dyktuje nieraz, niż rozum — do swego credo artystycznego „żeby było wesoło, żeby było ładnie" („Ptak") dodał: żeby było dobrze. Znakomitą budową sztuki, zwartą i przejrzystą (wbrew temu co jeden z krytyków napisał o „Moście" że jest niejasną, zresztą zaraz potem przyznając, że: „jej sceniczna wymowa jest szczególnie skupioną, a przytem pełna wyrazu") sugestywnym nastrojem zmusza widza do współgry, do zajęcia wobec rzeczywistości scenicznej własnego, zgodnego lub niezgodnego z bohaterami — ale własnego stanowiska, zmusza do myślenia. Prostota wyrazu i jego potężna dramatyczna ekspresja (n. p. scena, gdy Jasiek opowiada urywanemi zdaniami o przeprawie swego pana, znakomicie w napięciu dramatycznem stopniowana) znakomity rysunek charakterów, które paroma kreskami tak nam zbliżyć potrafi (scena: Helena i wywiadowca. w III akc.), każą słuszność przyznać Boyowi-Żelenskiemu, uważającemu „Most" za najlepszą sztukę Szaniawskiego

W dekoracji dyr. Frycza (zawsze na afiszu zakonspirowanego), prostej a pomysłowej, utrzymanej w szarym, monotonnym kolorze, znalazł świetne podkreślenie zasadniczy ton niesamowitego nastroju w sztuce. W tych dekoracjach grał most! Efekt zupełny posiłkowały tricki: deszcz ściekający po szybach i gra świateł wywołane złudzenie płynącej po rzece kry. W tym nastrojówym tonie utrzymali się z grających tylko pp. Nowakowski W. i p. Biegański. P. Nowakowski W. (przewoźnik) świetny w opanowanym, ściszonym głosie, postawie, masce, ruchach. Jednym dobrze pomyślanym wahadłowym ruchem ręki znakomicie zaznaczył zakłopotanie starego samotnika przy powitaniu narzeczonej syna, P. Biegański pokazał jak się „stawia" postać by w przebiegu akcji mogła się rozwijać i odsłaniać swą przeszłość. Już charakteryzacją w momencie wejścia na scenę ustalił indywidualność postaci tak, by móc ją wygrać do ostatka. Potrafił zaostrzyć ciekawość widza choć tem wstrząśnięciem się zmarzniętego pozwalającem się domyślać że nie jest zmarznięty, że nie jest sprzedawcą żyletek. Natomiast reżyserja, dobra a nawet bardzo dobra w II i III akcie, szwankowała w I-szym. P. Pawłowska (Helena) i p. Staszewski (Tomasz) zdawali się przedewszystkiem uważać, kiedy zacząć swe kwestje. P. Woźnik (Jasiek) dobry, czego nie można powiedzieć o p. Skassównej, której wiejskodziewczęce zmieszanie i zawstydzenie — prawda, że trudne — wypadło dość sztucznie. No i aparycja zewnętrzna p. Skassównej zbyt miejska. — Kwestję szofera wypowiedział p. Stefan Kępka.

il.

CENY OGŁOSZEŃ: Na okładce: 1/1 str. 100·— zł, 1/2 str. 50·— zł. 1/4 str. 30·— zł. 1/8 str. 20·— zł. W tekście 1/1 str. 200·— 1/2 str. 100·— zł. 1/4 str. 60·— zł 1/8 str. 40·— zł. W formie artykułu 50% drożej. Za zastrzeżenie miejsca dalsze 25%, a jeżeli na I-szej stronie, to 100% drożej.

Prenumerata miejscowa 2·50 zł., zamiejscowa 3·50 zł.

Redaktor odpowiedzialny Pustelnik Władysław, Wydawca Jurkiewicz Jerzy. Redaguje młodzież akademicka.

Adres: Karmelicka 33 I. p. Tel. 148-17. Konto P. K. O. Nr. 415-385.

Przebojowy repertuar

Kinoteatru „ŚWIT"

Czołowy film europejski z udziałem wybitnych sil polskich — p. t.

AUGUST MOCNY

Najrozkoszniejsza i najweselsza Komedja Wiedeńska p. t.

Przygodny Romans

Występują: **Gusti Huber, Leo Slezak, W. Albach Retty**, Hans Richter.

Tania i miła i przyjemna rozrywka dla wszystkich

FOTOPLASTIKON

przy ul. Szczepańskiej 5.

wyświetla interesujące i piękne obrazy z całego świata.

Co tydzień nowy program

Wstęp dla dorosłych 20 gr. dla młodz. szk. 10.

Czynny od 9 rano — 9 wiecz. bez przerwy.

„Apollo"

Złotowłosy brzdąc Shirley Temple

Pożądanie — w roli głów. MARLENA DIETRICH, Gary Cooper, reż. Fr. Borzage.

Daj mi tę noc — I szy najnowszy film z JANEN KIEPURĄ. prod. amerykańskiej.

„Sztuka"

Peter Ibbetson

Muzyka w powietrzu.

KINO „UCIECHA"

największe i najpiękniejsze kino Krakowa wyświetla doborowy repertuar.

NIEWIDZIALNY PROMIEŃ — sensacja ekranów świata, w rolach głównych Borys Karloff i Bella Luigosi.

NOWOCZESNY GULLIVER — najnowszy film sowiecki, w którym rolę liliputów gra siedem tysięcy figurek.

WER ZULETZT KÜSST... (tytuł polski nieustalony) w rolach głównych Liana Haid, Iwan Petrowicz, Hans Moser, Teo Lingen.

KINO „PROMIEŃ" TSL.

PODWALE 6.

Po odmalowaniu sali i zainstalowaniu nowej aparatury dźwiękowej wyświetla najlepsze filmy produkcji europejskiej. Ukażą się

„AMFITRJON" Wielka komedja bogów i ludzi. W roli głównej Willy Fritch.

„ANGIELSKIE WESELE"

„CZARNE RÓŻE" z Liljaną Harvey.

Kino „A D R I A"

Jego Wielka Miłość

Stefan Jaracz, Lena Żelichowska.

Arcylokaj

kapitalna komedja z Charles Lauchtonem i Leilą Hyams w rolach głównych.

Kino „A T L A N T I K"

Stradom 15.

najbliższe programy:

PIEKŁO superfilm Foxa

Epokowy film

OSKARŻAM CIĘ MATKO! (La MaHernelle).

BENGALI (Gary Cooper)

BURZA NAD ŚWIATEM.